



Ewangelia według Lokiego

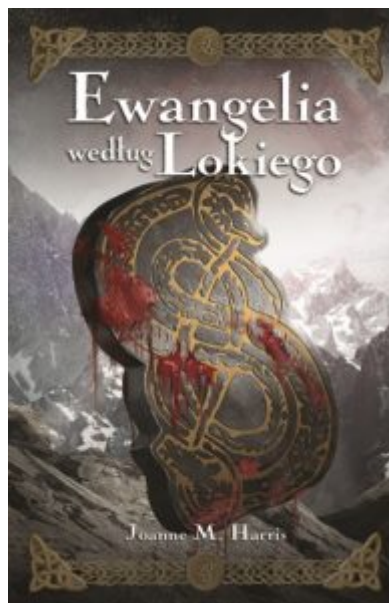


Joanne M. Harris



Retelling prawdę ci powie

nimfa bagienna



Wesoły nam dzień dziś nastał, bo odwiedził nas nordycki „gieroj” o mentalności korposzczura. Hanna Fronczak recenzuje „Ewangelię według Lokiego” Joanne M. Harris.

O istnieniu gatunku zwanego retellingiem dowiedziałam się w wieku mocno nastoletnim, kiedy to przeczytałam książkę Marii Kuncewiczowej „Tristan 1946”. Zachęcona możliwościami, jakie autorowi daje swobodna interpretacja dawnych mitów i wydarzeń, ruszyłam tym tropem, odkrywając po drodze takie perełki jak „Grendel” Johna Gardnera czy „Mgły Avalonu” Marion Zimmer Bradley. A teraz w moje ręce trafiła książka Joanne M. Harris „Ewangelia według Lokiego”.

Postać ta jest niejednoznaczna i przez to potrafi zafascynować. W swoim opracowaniu „The Problem of Loki” Jan de Vries twierdzi, że skandynawski arcykłamca nie był bogiem, bo w całej Skandynawii nie miał poświęconej sobie ani jednej świątyni, nie był obiektem kultu. Czasy współczesne to prawdziwy „renesans” popularności tej postaci, określanej pierwowzorem wszelkiego rodzaju, krętaczy i oszustów, którzy mają się znakomicie na kartach dzieł literackich i nie tylko.

Pierwsze, co mi się nasunęło po przeczytaniu kilku pierwszych (dosłownie pierwszych!) stron książki, to stwierdzenie, że jest to pozycja dla tych, którzy dobrze poznali mity skandynawskie, i smaczki podawane przez autorkę mogą docenić na bieżąco (Sif: świetne włosy; Idun: lubi owoce; Njörd: ładne stopy), a nie dopiero wtedy, kiedy Joanne M. Harris za kilka lub kilkadziesiąt stron wyjaśni swój żarcik. Pierwszoosobowa, prowadzona przez Lokiego narracja utrzymana jest w tonie uszczypliwo-ironicznym, co doskonale pasuje do postaci jako takiej. W interpretacji autorki nasz bohater ma mentalność korposzczura, który doskonale odnalazłby się jako wysoki stopniem menedżer w wielkiej firmie. Wszelkie fakty, nawet – a zwłaszcza – te dla siebie niekorzystne, potrafi przedstawić tak, by pokazać się z jak najlepszej strony, a w najgorszym razie wyglądać niczym niewinna ofiara cudzych manipulacji. Elastyczność jego sumienia jest zdumiewająca – do momentu, kiedy zdamy sobie sprawę, kim był jego mitologiczny pierwowzór.

Na korzyść całej opowieści przemawia to, że – wykorzystując materiał mitologiczny – autorka nakreśliła pewną linię wydarzeń, której konsekwentnie się trzymała, tworząc zręby akcji. O mitologicznym Lokim wiemy sporo, głównie dzięki obu *Eddom*, i właśnie z eddaicznych historii pochodzi większość „materiału fabularnego”. Przy czym Joanne M. Harris nie naśladuje niewolniczo

popularnych interpretacji mitycznych postaci. Pokusiła się np. o własną wersję postaci Gullveig, która zazwyczaj określana jest jako personifikacja złota (i w tej wersji świetnie pasowałaby do historii jako ktoś, kto potrafi skłócić wszystkich dokoła). Tak samo podoba mi się Sygin przedstawiona jako coś pomiędzy rozszczebiotaną słodką idiotką a nadopiekuńczą mamuszką. Postaci bogów, karłów, olbrzymów i innych istot to jeden z mocniejszych punktów tej książki; mają w sobie wiele ludzkich wad, i dzięki temu wydają się czytelnikowi bliscy i zrozumiali.

Całą opowieść znakomicie podsumowuje obraz Ragnaröku. Wielka bitwa, w której siły chaosu ścierają się z armiami ładu, jest oczywiście wzorowana na eddaicznym przekazie, ale na pewno nie jest z nim tożsama. Loki nie wychodzi z niej cało – i jednocześnie wychodzi. Można się zastanawiać, dlaczego tak się stało... bo ogień jest wieczny? Bo zdrada i kłamstwo będą istnieć tak długo, jak po ziemi będą chodzić ludzie i bogowie? Możliwości interpretacji jest wiele. Autorka z wdziękiem pokazała swoją: niemoralną, uszczypliwą i odwołującą się do pokrętnej ludzkiej natury. Moim zdaniem zrobiła kawałek doskonałej roboty. Retelling prawdę ci powie... w każdym razie jedną z jej wersji.

Hanna Fronczak

Tytuł: „Ewangelia według Lokiego”

Autor: Joanne M. Harris

Tłumacz: Ewa Spirydowicz

Wydawca: Akurat 2015

Stron: 412

Cena: 39,90 zł